



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

9

(Ciąg dalszy).

W najbliższą niedzielę zmusiła się do stawienia się na oznaczoną godzinę i przygotowania przyjęcia.

Tym razem dwie młode koleżanki sprowadziła Bronia, której twarz młoda, wesoła była sympatyczną Oldze.

Przywitała ją z uśmiechem przyjaźni i podając rękę, rzekła:

— Cieszy mnie, że pani przyszła... rozmówimy się szczerze... cóż pani powie o broszurze, którą dałam?

— Broszura?! — mówiła zarumieniona — nie mogłam przeczytać.

— Jakto? Nie miała pani czasu?

— Nie to... ale mój ojciec jest woźnym, a gdy zobaczył tę broszurę, zgniewał się na mnie i odebrał książkę.

— Dam pani drugą — pocieszała Olga.

— Nie mogę wziąć... ojciec mi zabronił i powiedział, że tam są takie rzeczy, które ludziom porządnym głowę zawracają.

— Ojciec pani źle powiedział, nie rozumie się na tem i pewno nie czytał.

Słowa te zraniły ambicję Broni i chmurna odpowiedziała:

— Ojciec mój jest woźnym, nie byle jakim wyrobnikiem albo rzemieślnikiem, on dużo umie i czyta.

Spostrzegła Olga swój krok fałszywy i starała się go naprawić.

— Nie wątpię, panno Broniu, że ojciec jest rozumny i czytany, ale starsi przyjmują tak niechętnie wszelkie zmiany, że nawet najsprawiedliwsze rzeczy odrzucają.

— Może inni, ale nie mój — upierała się Bronia, chcąc swoją familią zaimponować obecnym koleżankom.

— Jeśli pani nie może czytać, przynajmniej zechce pani posłuchać, co mówię.

— A to, i owszem... dlatego przyszłam i przeprowadziłam moje znajome... ale nie na długo, proszę pani, bo mam dziś jeszcze pójść z wizytą.

I zów przybyli goście, wypili herbatę, zjedli co było, wysłuchali słów Olgi i pospiesznie wyszli.

Tym razem Olga nie umawiała się o następne spotkanie. Przekonała się, że tą drogą zapraszania, ugaszczania, nie dojdzie do celu, do zawiązania kółka chociażby bardzo małego.

VI.

Po dłuższym namyśle postanowiła zwierzyć się Żaleckiemu ze swych usiłowań i prosić jego rady, co robić i jak, aby dojść do upragnionego celu.

Wiedząc, kiedy Żalecki bywa w „Pochodni“, wybrała ten czas.

W niewielkim pokoju, przy zwykłym sosnowym stole, zarzuconym pismami, siedziało dwóch człon-

ków zatopionych w czytaniu, którzy zaledwie rzucili okiem na wchodzącą Oldę.

Blżej okna stał mały stolik i przy nim usiadła, wzięwszy do ręki jakiś dziennik, nadając sobie pozory czytania, gdy jej myśli były zajęte układaniem tego, co mu powie i przypuszczeniami, co usłyszy w odpowiedzi.

Obydwaj czytający po pewnym czasie wyszli, a Olga, zostawszy sama, dzięki temu, że była w lokalu „Pochodni“, zaczęła szczegółowo roztrząsać dzieje pobytu swego na uniwersytecie.

Cisza w pokoju była zupełna, gdyż kolega, mieszkający w bocznym pokoiku i na nazwisko którego był najety lokal, wyszedł na wykłady.

Przez szyby przeglądał dzień chmurny, dżdżysty, zimny, i od czasu do czasu wiatr dzwonił oknami i wył przeciągle w kominie.

Ten szary, zimny dzień nastrojał Oldę smutnie i na minione miesiące patrzyła krytycznie, bez zapału i podniecenia, któremu zazwyczaj ulegała, gdy była w towarzystwie kolegów.

Co zrobiła? Czem przysłużyła się partyi? I co począć, aby stać się pożyteczną, aby pracować owocnie, aby nie być tylko niepotrzebnym dodatkiem do partyi, lecz zużyć swe siły i dobrą wolę na jej korzyść.

Już cztery miesiące minęło od założenia „Pochodni“ i jaki rezultat jej pracy?

Tyle zrobiła, co pierwsza lepsza „sympatyczka“ socjalnej-demokracji.

Wszystko kończy się na dobrych chęciach, na wzdychaniu, na projektach, marzeniach, nadziejach, że kiedyś, może, przy sposobności korzystnej... coś uda się jej zrobić.

I zawsze jest bierna, bezczynna, marząca, jak panna na wydaniu, która czeka na starającego się i marzy o nim w dzień i w nocy, ale spowita zaletnością, kroku nie ruszy, a nawet nie śmie się do tego głośno przyznać!

To zupełnie ona i jej stosunek do socjalnej demokracji... myśli, marzy, spodziewa się... a nawet nie śmie powiedzieć stryjostwu i ojcu, że ta partya jest jej celem i dążeniem.

Opanowała ją gorycz i upadek ducha, towarzyszący poczuciu bezsilności.

Wszedł Żalecki przemokły, zziębnięty i zrzucający zmoczone, lekkie palto, strząsnawszy wodę z kapelusza, rzekł ze śmiechem:

— Wiecie, na dworze przeszedłem piekło kapitalistyczne, wiatr, zimno, a nawet zadyma się zbiera... a tu raj socjalistyczny... o, nawet w piecu napalono, to pachnie zbytkiem.

Podszedł do pieca i grzał skostniałe ręce, a patrząc na Oldę, zapytał:

— Cóż siedzicie tak melancholijnie, jak fabrykant, gdy maszyny stanęły?

— Bo też u mnie zastrejkowały wszystkie siły, i siedzę bezradna — odpowiedziała poważnym głosem.

— Weźcie mnie za pośrednika — zaśmiał się — może doprowadzę do ugody i strejk ustanie. O cóż wam idzie? — zbliżył się do stolika, przy którym siedziała i patrząc jej w oczy — czy jesteście chorzy, koleżanko, bo nieszczególnie wyglądacie.

— Jestem tylko zmęczona... nie wiem, po co żyję? w jakim celu? gdzie iść, do jakiego kresu?

— O, to nie jest śmiertelna choroba — uśmiechnął się, siadając naprzeciw niej — to, uważacie, zwykła choroba niemowląt, jak odra, szkarlatyna... to mija, każdy z nas ją przechodził.

— Ale nie kwękałiscie długo, bo widzieliście jasno waszą drogę.

— Bywało różnie... no, opowiedzcie mi szczerze, co wam dolega? — i spojrzał na nią z większym współczuciem, aniżeli miał zamiar okazać, co zauważyła Olga i poczuła pewną wdzięczność.

— Widzicie — zaczęła po chwili — poszłam podług adresu i bez pośrednictwa tej osoby zaznajomiłam się z robotnikami pracowni krawieckiej. Zaprosiłam je, ugościłam, mówiłam z nimi trzy razy, za każdym razem z nowymi...

— I naturalnie na niczem się skończyło — przerwał jej — zjadły, wypili, słuchały piąte przez dziesiąte i poszły sobie w świat, tak jak przyszły. Czy nie tak było?

— Prawda.

— To zwykły błąd początkujących i ja nie byłam wolny od niego. Ale dlaczego nie poradziliście się mnie? Byłbym was ochronił od wydatków niepotrzebnych i straty czasu.

Nie chcąc wyznać prawdy, że pragnęła samodzielnie przeprowadzić zawiązanie kółka i pochwalić się energią, powiedziała wymijająco:

— Nie przyszło jakoś do tego.

— Rozumiem — uśmiechnął się dobrotliwie — zależało wam na samodzielności... I to zwykły błąd także... Weźcie sobie, koleżanko, za zasadę, nie robić tajemnicy z czynu, który ma doniosłość dla partyi... poradzcie się zaufanego... zrobicie, jak uważacie, ale rada, zwłaszcza w początkach zawodu agitatora, bywa pożyteczna.

— Dobrze.

— Teraz rozumiem strejk waszych sił. Opanowało was zniechęcenie, nieufność w siły własne, bezcelowość pracy, bezskuteczność środków, a mglistość celu... ale to chwilowe... to minie.

— Dużo w tem słuszności, coście powiedzieli, ale nie to mi dolega.

— Cóż tedy?

— Widzicie... zdaje mi się, że chodzę wśród mgieł, czego się dotknę, to niema nic stałego, lecz rozwiewa się, wokoło mnie mrok... wierzę, że słońce gdzieś jest poza temi mgłami, ale ja go nie widzę, nie czuję, że bliskie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale i zainteresowaniem:

— Wytlumaczcie się jaśniej.

— Przyjęłam program socjalnej demokracji, bo wydawał mi się jasnym, wielkim i był bliski moich marzeń.

— Czy program się zmienił? Czy cel stał się inny? — uśmiechnął się.

— Nie, tego też nie mówię... ale weźcie, kolego, ich środki i drogi — wstała i zebrawszy kilka pism ze stołu, położyła na małym stoliku — nic, prócz kłótni i wymyślań, bardzo, ale to bardzo niewybrednych na tych, którzy ośmieli się wy-mówić słowo „Polska“, jako odrębności narodowej.

— To zwykła polemika partyjna. U was, w Ro-